

Adam Wiaryga-Minieski.

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich.

18

— jaka pani dobra dla mnie!... Czem ja się pani odwiedzę?...
— Eł Klituf bajduś!... Anim ja dobra, ani mi się wdzięczność należy i... dobranoc pani.

Złośliwy dyablik, który podszeptał Larchównie radę o zasiłku dla Józki, zanosił się teraz od śmiechu, na myśl o wściekłości pani Zarnickiej, kiedy ta się dowie, że jej synowa stara się o zasiłek.

— A niech pęknie ze złości!... Mogłaby choć po kilka koron miesięcznie dawać temu biedactwu!... A to ją urządził!... O! Dzięki Ci Boże, że ja w tę czcigodną rodzinę Zarnickich nie wdępnęła!

Kiedy Larchówna powróciła do swego pokoju, Lutka Wichurzanka przyjęła ją wykrzykiem zdumienia:

— To ta młoda Zarnicka u ciebie bywa?!
— A była dzisiaj po raz pierwszy. — odpowiedziała niedbale, zabierając się do mycia.
— Ależ jakim sposobem poznałyście się?!

Ty i Zarniccy?!

— Moja Lutko, wiem, że jesteś prawnuczką prababci Ewy i dlatego mocno ciekawą, ale ty chyba także wiesz, że ja nikomu nie lubię здаwać sprawy z tego, co robię...

— Kiedy, doprawdy nie mogę wyjść z podziwu... I żeś ty ją jeszcze tak serdecznie zapraszała, tę lale...

— Więc ona ci się nie podoba?...

— A pewnie, że nie. To musi być kompletna idyotka. Samiczka!... — ostatni wyraz Lutka wymówiła z bajecznie pogardliwym wygięciem ust.

Larchówna uśmiechnęła się.
— Nie będę się z tobą sprzeczała, bo o gustu nie można się sprzeczać...

— I żeby choć była tylko głupia, ale musi być obłudna kobieta, komedianka wstrętna!...

— Ooo! Lutko, trochę ostrożniej!... Skądże takie ostre sądy?...

— A, bom ją obserwowała podczas ostatniego dnia „kwiatka“... Niby to wyszła za mąż ze strasznej miłości, a ledwie mąż odjechał, to już na kawalerów leci...

— Dziewczyno, na miłość Boską, rwiesz się do nauki, do matury, do studyów, uważasz się za wyższą, za mądrzejszą od swojego otoczenia, a siedzisz po uszy w bagienku plotek...

— To nie plotki!... Sama widziałam!...

— Coś widziała?...

— Jak ta twoja Zarnicka flirtowała obrzydliwie z tym Łuniewskim z „Centrali“... Odbiła go Loli!... Miła bratowa!...

Larchówna zastanowiła się. Rada byłaby dowiedzieć się czegoś więcej o tym mniemanym, czy prawdziwym flircie Józki — nie chciała jednak wyciągać Wichurzanki na opowiadanie plotek.

Zresztą Lutka już sama przestała mówić, usiadła przy stole, rozłożyła zeszyt i jedną z przyniesionych książek i wzięła ołówkę do ręki.

— Pozwolisz mi uczyć się tutaj? Dobrze?...

— Ależ, ucz się, ucz!...

— W domu w żaden sposób nie mogę się uczyć, a koniecznie chcę zdać maturę w jesienym terminie. Moje siostry urządziły dzisiaj wojenną herbatkę, zaprosiły Micę, Tosię, Ziunię i jeszcze tam którąś... Jest tam także „kawaler jeden na tych dziewic siedem“... Drugiego oczekują, ale pewno nie przyjdzie... Mama się złości, że jej kartek w tym miesiącu nie wystarczy, bo goście zjedzą chleb i cukier... Jednym słowem, jeneralne zamieszanie i dlatego musiałam dać „nogę“ z domu...

— Możesz tutaj u mnie spokojnie pracować... Tylko słuchaj, Lutko, chciałam ci o coś prosić...

— No?...

— Nie paplaj tam zaraz w domu, żeś spotkała u mnie młodą Zarnicką.

— Aha! — mruknęła Lutka i zatopila się cała w tajnikach gramatyki greckiej.

— Będzie awantura!... — myślała Józka, wstępując na schody — Ale niech sobie!... Zdecydowana była, że „nie da się“... Nadspodziewanie ominęło ją oczekiwane przykre przejście.

Pani Zarnicka miała na kolacyi gości.

Przyjechała do niej kuzynka z dorastającą córką.

Józki przedstawiono gościom bardzo krótko i sucho i więcej nie zajmowano się nią wcale, przynajmniej pozornie.

Kuzynka tylko niekiedy rzuciła ukradkowe, ciekawością palące się wejrzenia na „awanturnicę“, o której tyle słyszała.

Rozmowa obracała się wokół osób, zupełnie Józki nieznanych, tak, że gdyby nawet chciała, nie mogłaby dorzucić ani słowa do rozmowy.

Nagle kuzynka, zwracając się do pani Zarnickiej, zapytała słodziutkim tonem:

— A propos, moja droga, słyszałaś już o maryżu Izzy Masławskiej?

Józka poczuła, że na dźwięk imienia Masławskiej czerwieni się i pochyliła głowę niżej nad talerzem.

Lola spojrzała z pod rzęs na bratową, a po twarzy gospodyni przebiegło lekkie, prawie nieostrzegalne drgnienie.

— Iza Masławska wychodzi za mąż?... Nie, nie słyszałam nic o tem... I za kogoż to?...

— Za barona Erwinga... Bogaty człowiek, świetnie skoligacony, dżentelmen w każdym calu...

— Ale, zdaje się, nie pierwszej już młodości...

— Jeszcze bardzo przystojny... Może się podobać... Nawet lepiej, że starszy... Młodzi takie dziwne nieraz miewają gusta... — w stronę Józki padło spojrzenie szybkie i jadowite, jak zatruta strzała — Jednym słowem, Masławska robi doskonałą partycję... Należy się jej to, co prawda... Iza dostaje pół miliona, okrągłe pół miliona...

To „pół miliona“ przecięło powietrze syczącym, tryumfalnym dźwiękiem.

Józki wydawało się, że kawałek kotleta, który przetyka, dławi ją. Nóż i widelec zatrzęsły się w jej rękach.

Pani Zarnicka nie zdołała się na tyle opamiętać, aby w jej oczach nie rozgorzał zły płomień. Palące iskry posypały się na pochyloną głowę i jasną twarz synowej.

Józka odczuła ten wzrok, jak uderzenie.

— Tak — wyrzekła z przyciskiem pani Zarnicka — Iza jest istotnie doskonałą partycją i to nie tylko ze względu na swój majątek... To panielka skromna, dystygowana, świetnie ułożona i wychowana... Można baronowi szczerze powinszować i pozazdrościć...

— Dużo jest takich, którzy zazdroszczą... — odparła kuzynka.

Rozmowa toczyła się dalej o tem i o owem, aż wreszcie pani domu nakierowała ją zrećnię na rozwody.

— W zasadzie jestem przeciwniczką rozwodów — mówiła — w pewnych wypadkach jednak...

— Przecież kościół katolicki nie uznaje rozwodów...

— No tak, rozwodów nie, ale unieważnienie małżeństwa w specjalnych warunkach jest dopuszczalne. Otóż sądzę, że po wojnie, te, tak zwane „wojenne“ małżeństwa, zawierane nagle, bez zapowiedzi, najczęściej bez namysłu, pod wrażeniem chwili...

— Moja kochana, małżeństwo jest małżeństwem... Sakrament!... Przysięga... — oponowała kuzynka.

— Nikt nademnie nie ceni więcej świętości przysięgi małżeńskiej, ale... każda reguła musi mieć swoje wyjątki... Nie można na przykład mówić o wolnej woli tam, gdzie się na kogoś wywiera przymus...

Lola już od dłuższej chwili niespokojnie kręciła się na krześle i nerwowo gnioła na obrusie gałki z chleba...

Pomimo zazdrości, która ją dręczyła, pomimo rozwijającej się coraz silniej niechęci ku Józce, rozmowa ta nie była jej przyjemną i wydawała się jej nawet wprost niesmaczną...

— Po co o tem mówić? — myślała — I to jeszcze wobec takiej plotkarki?...

Dorastająca kuzyneczka zajażdżała z największym apetytem kompot z suszonych śliwek i moreli, roześmianami oczyma spoglądała na wszystkie panie po kolei, starając się widocznie podchwycić tajny sens rozmowy.

Matka zwróciła na nią nagle uwagę.

— Pas de vant l'enfant!... — szepnęła cicho Zarnickiej.

Józka otwierała szeroko, coraz szerzej oczy, które tak pociemniały, że stały się jakieś czarnoszafirowe.

Z początku słuchała dość obojętnie wywodów świekry, nie rozumiejąc, w kogo one go-
dzą...

Ale wzmianka o małżeństwie „wojennem“ i przymusie, była aż nadto wyraźna.

Młoda kobieta zacisnęła zęby by zdusić krzyk, który się z gardła wydierał i stuliła ciemnymi rzęsami obrzeżone powieki, żeby nie pozwolić wytrysnąć łzom.

Joasia weszła do pokoju, wnosząc na łacy herbatę.

W chwili, kiedy służąca stawiała przed nią szklankę, Józka podniosła się z krzesła i zmienionym, drżącym głosem powiedziała:

— Przepraszam, czuję się słabą... Nie będę pila herbaty. Dobranoc.

Nie patrząc na nikogo i nie czekając odpowiedzi, wyszła z jadalni.

Kiedy zamykała drzwi za sobą, dobiegły ją słowa kuzynki:

— Ależ twoja synowa zdaje się być nieco nieobliczalną i widocznie nie lubi się wcale krępować... Dziwne to u tak młodej osoby.

Pani Zarnicka coś na to odpowiedziała, ale co, tego już Józka nie słyszała.

ROZDZIAŁ XI.

Słońce... blask... ciepło i zieleń wokół... Niebo jednostajnie błękitne. W żarze słonecznym pęka ziemia.

Prawdziwy potop złotych, palących promieni oblewa trawy, kwieciami przetkane i omdlałe z gorąca — krzaki jałowcu, tarniny, dzikich róż i ostrężnic.

Trochę chłodu płynie od cienistych gajów — trochę niezdrowej wilgoci zalatuje od niewielkiego stawku, okrytego zieloną skorupą, w którym bez przerwy kumkają żaby.

Nad stawkiem rosną dużemi kępami niezapominajki.

Józka Zarnicka, nie dbając, że w bagnistym mule może zniszczyć pantofelki i przemoczyć pończochy, schyla się i zaczyna rwać błękitne kwiaty.

Po chwili głos jej świeży, czysty i dźwięczny łączy się z kumkaniem żab w stawku, swiergotem ptaków w gajach i z brzękiem jakichś kos niewidzialnych, które śnać opodal ścinają dojrzałe trawy.

„Rosną w polu krasne kwiatki,
Sieją woń dokoła...
Jestem sobie zza rogatki
Dziewczyzna wesola!
Tu mi słonko błysło,
Tu żyję swobodna,
Nad tą modrą Wisłą,
Co ją przejrze do dna!...
Gdy się zrana ozwa dzwonki,
Spieszę do kościoła
I na ołtarz mej Patronki
Zbieram wonne zioła.
Nie mam ja ci biedna
Srebra ani złota,
Lecz modlitwą zjedna
Swa łaskę sierota
Zem ładna, tom zawdy
Słyszała już dzieckiem,
Mówią tak, doprawdy,
W Półwsiu Zwierzyniekiem.
Mówią tak, lecz kłóży...“ *)

Piosenka urwała się w pół zwrotki. Śpiewaczka przestała układać bukiet z niezapominajek, wyprostowała się i obróciła głowę ku nadchodzącemu z kapeluszem w ręku mężczyźnie.

— A, to pan!... Skądże się pan tutaj wziął?!

— Przyszedłem tą oto drogą, prawdopodobnie tą samą, którą i pani. — odparł z uśmiechem Julian Łuniewski.

— Myślałam, że pan w biurze o tej porze...

— Uwolniłem się trochę wcześniej, bo taka śliczna pogoda, że mi się koniecznie spaceru zachciało...

Nie dodał, że mu się go zachciało, ponieważ zobaczył przez okno Józkę.

— Ale, żeśmy się to tak spotkali...

— Przypadek... Cóż w tem nadzwyczajnego?

— Pewnie, że nic, tylko...

Filuterne iskierki zatańczyły w źrenicach Józki.

— Tylko?... Dlaczego pani nie kończy?...

— Bo mi się tak podoba. Nie skończę i już.

— Choćbym bardzo prosił?...

— A choćby pan nie wiedzieć jak prosił. Powiedziałam raz.

— Taka pani stanowcza?

— A tak.

— Czy zawsze?

*) Z „Królowej Przedmieścia“ K. Krumińskiego.